

Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





GDZIE WIDZIAŁEM KOMENDANTA

Z CYKLU:

WALKI O NIEPODLEGŁOŚĆ

POLSKA I ŚWIAT WSPÓŁCZESNY  
BIBLIOTEKA MŁODZIEŻY

---

F. SŁAWOJ - SKŁADKOWSKI

GDZIE WIDZIAŁEM KOMENDANTA  
NIM POLSKĘ WYWALCZYŁ



NAKŁAD  
GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA



214656  
I br



Zakł. Druk. F. Wyszynski i S-ka, Warszawa.

1933

Akt. Nr. 303 33/34  
A

## PIERWSZY RANNY.

**P**IERWSZY raz w życiu zobaczyłem Obywatela Komendanta Józefa Piłsudskiego w czasie opatrywania przeze mnie rannego żołnierza na początku Wojny Światowej.

Było to 13 sierpnia, na drugi dzień po wstąpieniu mojem do Legjonów, czyli — jak wtedy mówiło się — do Strzelców Piłsudskiego. Spóźniłem się o cały tydzień z wyjściem na wojnę, gdyż, w chwili jej wybuchu, nie było mię w Krakowie. Musiałem iść na piechotę z Sosnowca do Miechowa, by dopędzić pierwsze bataljony Strzelców, maszerujące na Kielce. Z Miechowa do Jędrzejowa przejechałem nocą, eskortując furę z żywnością, a w Jędrzejowie udało mi się wstąpić do Piątego Bataljonu Strzelców, w charakterze lekarza bataljonowego. Pełniący wtedy władzę cywilną w Jędrzejowie, z ramienia Obywatela Komendanta, doktor Bobrowski dał mi szablę rosyjską i niedużego karogniatego konika. Gdy więc bataljon ruszył z rynku Jędrzejowskiego, kierując się w stronę Chęcin, pojechałem za nim już na koniu.

Przeszliśmy zrazu ciasnemi uliczkami miasteczka, a potem ciągnęliśmy zapyłonym, białym od kurzu wapiennego gościńcem.

— Boże, więc już jestem na wojnie i w polskich szereгах — myślałem, patrząc na idący przede mną bataljon. Miałem konia, szablę i plecak z opatrunkami chirurgicznymi, które przygotowałem dla rannych. Będą pewnie niedługo, bo idziemy w prostym kierunku na Moskali.

Przedemną na szosie wisiała kolumna pyłu, w której miarowo kiwały się maszerujące postacie żołnierzy. Byli to przeważnie młodzi chłopcy, w półwojskowych ubraniach, dźwigający pękate plecaki i wielkie jednostrzałowe karabiny systemu Werndla. Zbliżało się południe i żar letni dobrze przypiekał kolumnę. Spoceni, mimo porozpinanych kołnierzy mundurów, utykający często na kamieniach szosy, wskutek braku porządnego obuwia, młodzi nasi żołnierze byli pełni dobrej myśli i zapału. Rozmawiali o Obywatelu Komendancie, który jest na przedzie z paru bataljonami i Kompanją Kadrową. Mówili, że nasi byli już w Kielcach, skąd wycofali się po bitwie z Moskalami, którzy mieli grubo większe od naszych siły, a, co ważniejsze, również i armaty, których nam niestety brakowało. Czas wolno mijał w spiekocie i kurzu, kilometry leniwie zostawały za nami. Mój konik zaczął pokrywać się potem, mimo że jechałem za kolumną stępa. Było straszne gorąco i pragnienie paliło wszystkich. Jak na złość, nawet żadnej wsi w pobliżu nie było, gdyż szosa szła przez jakieś odludzia. Wreszcie z kurzu wyłonił się komendant bataljonu i wnet kompanijny ostatniej kompanji, będącej przede mną, wzniosł rękę do góry, wołając: „czoło stój!!!“

— Nareszcie! — zawołali żołnierze jednogłośnie, gdy padło pożądane: „wolno siadać!”

Już chłopcy siadali i kładli się na zapyłonej trawie, opierając plecaki o ziemię i kładąc obok ciężkie karabiny. Zsiadłem i ja z konia i wyciągnąłem nogi w rowie przydrożnym. Koń zaczął zaraz gryźć trawę, parskając i krztusząc się od kurzu, który obielił trawę. Słońce piekło niemiłosiernie, wnet też podniósł się jednogłębisty skandowany okrzyk żołnierzy: „My chcemy piiić!!!“

Już z każdej kompanji po kilku żołnierzy na rozkaz komendanta zebrało manierki i szło miedzą do wsi, która zieleniła się koronami drzew za żółtymi łanami zboża. Dałbym i ja swoją manierkę, by przynieśli mi wody, ale cóż, kiedy manierki nie miałem....

Ha, zobaczmy, co będzie, jak przyniosą wodę.

Tymczasem, wokół mnie zaczęli zbierać się żołnierze, z których jeden spytał mię: „Obywatelu, czy to prawda, że jesteście doktorem?”

Po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi, usiadł i zaczął zdejmować z nóg popękane lakierki, mówiąc: „To, proszę Was opatrzcie mi nogi, bo iść dalej nie mogę!”

Popatrzyłem na jego nogi i przeraziłem się. Stopy całe były pościerane i pokryte bąblami nabrzmiałymi wodą. Ten żołnierz szedł już tylko siłą woli, gdyż kiepskie, lekkie obuwie, nieprzystosowane do marszu, zupełnie nie chroniło jego zmasakrowanych nóg przed urazami kamieni na szosie. Zacząłem opatrywać jego obtarcia i bąble, przykładając na gacie masć, której miałem trochę w plecaku. Po opatrunku żołnierz obuł

się i skoczył wesoło na szosę, mówiąc: „Całkiem mam inne nogi, dziękuję Obywatelu doktorze, napijcie się za to kawy!”

Pociągnąłem z cieplej manierki parę łyków, które wydały mi się niebiańskim napojem, poczem właściciel manierki wybulgotał resztę do swego gardła. Pokrzepiony nieco, już miałem pakować do plecaka maść i gazę, gdy stojący wokół mnie żołnierze zawołali: „Obywatelu doktorze, my kawy nie mamy, ale nogi mamy też poodparzane!!”

Ha, co było robić, wszyscy się rozzuli i otrzymali ode mnie jaki taki opatrunek. Trwało to dosyć długo. W międzyczasie wrócili ze wsi żołnierze z manierkami i moi nowi pacjenci poczęstowali mię wodą. Potem położyliśmy się wszyscy w rowie na trawie i drzemaliśmy pod prażącymi promieniami słońca.

Trochę już podrzemałem, gdy doszedł mię krzyk, podawany wzdłuż leżącej kolumny: — Doktor — do bataljonowego, doktor — do bataljonowego!

Zostawiłem więc konia pod opieką jednego z żołnierzy i poszedłem na czoło bataljonu, gdzie stało jakieś auto z paru oficerami.

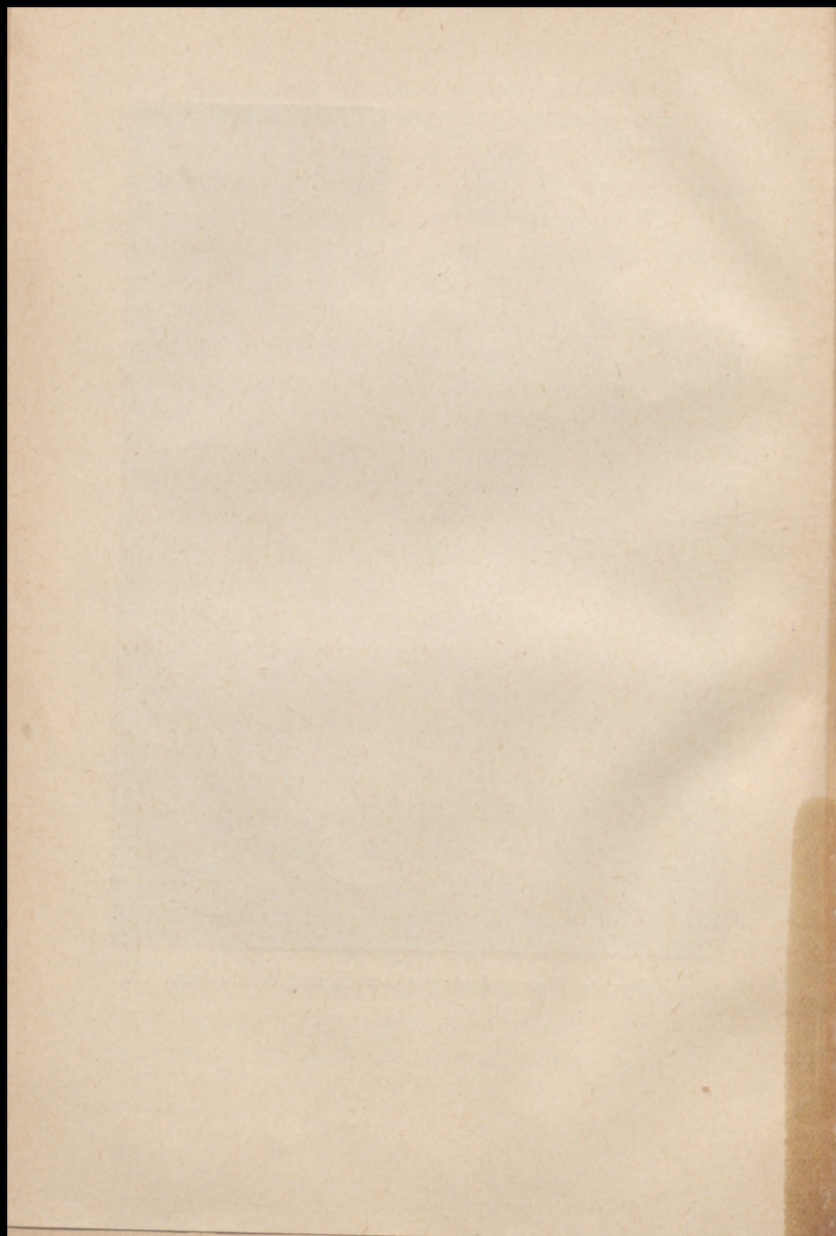
— Doktorze, czy macie opatrunki, spytał się komendant bataljonu, — na przedzie, parę kilometrów stąd, jest ranny, którego trzeba opatrzyć!

Odpowiedziałem twierdząco, szofer zawrócił samochodem i za chwilę już mknąłem po białej szosie, mając obok siebie jakiegoś Strzelca z czerwonym sznurkiem na kurtce — odznaką szarży oficerskiej.

Jechaliśmy zaledwie parę minut, gdy ujrzałem pułk



Obywatel Komendant w okopach nad Stochodem



austrjackich dragonów, stojący w masie obok szosy, w niewielkiem wgłębieniu terenu. Słońce grało na wspinających kaskach, szablach i mundurach żołnierzy. Zatrzymaliśmy się obok rannego dragona, leżącego w rowie. Był blady i zaciskał wargi, by nie krzyżeć. Otaczał go cały sztab oficerów, gdyż był to pierwszy ranny w ich pułku.

Gdy zdejmowałem plecak, podszedł do mnie oficer strzelecki o poważnym wyglądzie, bystrych oczach i długich wąsach. Austriacy oficerowie rozstąpili się z szacunkiem, by dać mu drogę.

— Doktorze, czy dacie sobie radę z tą raną? — zapytał oficer, odpowiadając na mój ukłon.

— Tak jest—powiedziałem nie bez odcienia dumy—jestem specjalistą — chirurgiem.

Szybko rozciąłem spodnie i bieliznę rannego, poczem zajadynowałem i opatrzyłem ranę postrzałową uda. Po nałożeniu opatrunku oświadczyłem, że rannego należy odwieźć do szpitala jakąś furą.

Wnet dwóch kolorowych dragonów sadziło na pięknym koniach do najbliższej wsi, by zarekwirować furę.

Dowódca pułku dragonów podszedł teraz do starszego oficera Strzelców i, salutując, dziękował za pomoc rannemu żołnierzowi. W czasie tego podziękowania wszyscy oficerowie salutowali szarego oficera Strzelców. Później pułkownik podziękował i mnie.

Starszy oficer Strzelców siadł do auta i odjechał w kierunku Kielc, żegnany z szacunkiem przez Austriaków. Wtedy dopiero zrozumiałem, że ten szary oficer

to nie był kto inny, tylko sam Obywatel Komendant  
Główny — Józef Piłsudski....

Był obecny przy pierwszym mojem opatrzeniu ran-  
nego na wojnie!

## PIERWSZA BITWA.

PONURO huczy wiatr jesienny w dolinie Wisły przy ujściu do niej Dunajca. Dunajec rwie, ryczy, pieni się i miota, wpadając do, niewiele większej od niego w tem miejscu, Wisły. Żółte fale Dunajca długi jeszcze czas płyną oddzielnie i wyprzedzają szare wody spokojnej Wisły, jakby nie chciały zmieścić się we wspólnem łożysku. Kilka kilometrów poniżej wpada do Wisły z prawej już strony — rzeka Nida pod miasteczkiem Nowy Korczyn.

Mieliśmy za zadanie bronić prawego, galicyjskiego brzegu Wisły przed Moskalami, będącymi na brzegu lewym właśnie na odcinku między ujściem Dunajca i Nidy. Brzeg nasz był niski, pokryty, na szczęście, gęsto łożami nadrzeczными. Górował nad nim wysoki brzeg, będący po stronie skąd mieli nadejść Moskale.

Dlatego Obywatel Komendant rozkazał nam nie przestać na obronie prawego brzegu rzeki, ale, nie czekając na przybycie Moskali, przeprowić się przez rzekę i dokuczać im, ile wlezie, już na terenie Kongresówki. Pierwszy taki wypad na lewy brzeg Wisły wyznaczony został na noc z 19 na 20 września 1914 roku.

Rzecz była trzymana do ostatniej chwili w tajemnicy, tak, że dowiedzieliśmy się o mającej nastąpić prze-

prawie dopiero pod wieczór, gdy zaczęli żołnierzom rozdawać konserwy. Wieść o bliskiej pierwszej bitwie i to w nocy, niespodzianie, z Moskalami, przed którymi drżeli Austriacy, napełniła nasze serca wielką radością. Kompanje pierwsza i czwarta, wyznaczone do wymarszu, zaczęły wznosić głośnie okrzyki radości, ale obywatel bataljonowy Karasiewicz surowo zabronił podobnych wyczynów. Kompanja druga i trzecia chciałyby iść również z nami i proszą o to bataljonowego, ten jednakże jest nieubłagany:

— Mogą iść tylko dwie kompanje, sztab bataljonu i absolutnie nikt więcej!

Już rozdali konserwy i naboje, poczem dwie kompanje zaczynają ustawiać się w uliczce wioski, otulonej wczesnym zmrokiem jesiennym; koni nie bierzemy ze sobą, zabronione jest palić i śpiewać, by nie zwrócić naszym ruchem uwagi Moskali, którzy, być może, obserwują nas ze swego wysokiego brzegu rzeki. W ciszy schodzimy skośnie biegnącą drogą, nad brzeg Wisły, gdzie stoją przygotowane już dwa stare, zaciekające wodą promy, mające nas przewozić na drugi brzeg rzeki. Było tu więcej promów, ale austriaccy żandarmi kazali je zatopić. Te dwa zostały, na osobisty rozkaz Komendanta, ochronione naszemi wartami, które nie dopuściły Austriaków.

Siadamy na kamieniach i trawie obok promów, oczekując dalszych rozkazów. Jesteśmy wszyscy w płaszcach, gdyż zimno panuje straszne i wiatr hula w łozysku rzeki, miotając szare fale wody na czarne boki promów. Siedzą przy nich przewoźnicy, tutejsi ludzie —

i gwarzą o czemś zcicha, nakryci na głowy kapotami. Niebo siąpi drobnym jesiennym deszczykiem, który zapowiada się na długo. Żołnierze mówią, że to lepiej, bo Moskałe będą mocniej spać i prędzej ich zaskoczymy na noclegu.

Mija tak koło godziny. Wiatr huczy i wyje, szarpiąc łoży nadbrzeżne i pieniać fale rzeki. Możemy rozmawiać w tym szumie zupełnie głośno — Moskałe na pewno nie usłyszą...

Nie zobaczą też na pewno, bo ciemno już zupełnie, na trzy kroki nie widać. Tylko w małym okienku domku przewoźnika na wzgórzu błyszczy małe światełko, odbicie którego skacze na falach ciemnej rzeki.

Niektórzy żołnierze już zasnęli, leżąc na ziemi, gdy nadbiegł ordynans bojowy z komendy bataljonu, wzywający oficerów na odprawę do chaty przewoźnika. Poszliśmy więc w ciemną noc, pnąc się w ciemności pod górę po oślizgłych kamieniach i mokrej glinie. Zameldowaliśmy się u obywatela bataljonowego Karasiewicza „na rozkaz“ i czekaliśmy na przybycie Obywatela Komendanta. Przez ten czas obywatel Karasiewicz studiował mapę....

Zadźwięczały kopyta końskie pod oknami, obywatel bataljonowy wybiegł meldować się i za chwilę wszedł do izdebki Komendanta, w swoim szarym kożuszku. Zerwaliśmy się na równe nogi, zostawiając miejsce obok stołu, na którym leżała mapa. Byliśmy rozgorączkowani czekającym nas tej nocy zadaniem bojowym.

Obywatel Komendant w krótkich słowach wydał rozkazy. Mamy przeprowadzić się przez rzekę niezwłocznie

i wspólnie z bataljonem obywatela Satyra, który jest już na drugim brzegu — zaatakować o świcie Moskali, będących, według meldunków, na noclegu w miejscowości Solec.

Głos Obywatela Komendanta brzmiał równo i spokojnie. Spokój ten udzielił się naszym napiętym umysłom, przedstawiając, jako rzecz naturalną dla polskiego żołnierza iść za rzekę, naszą Wisłę, by szukać tam, napaść i zniszczyć odwiecznego wroga — Moskale. Czujemy się pokrzepieni i podniesieni na duchu rozkazami Obywatela Komendanta. Jesteśmy teraz spokojni i gotowi na wszystko. Gdy już odjeżdża, wyprowadzamy Go na drogę, poczem udajemy się wszyscy do żołnierzy, śpiących nad rzeką snem beztroski.

Kompanijni budzą żołnierzy, w kilku słowach wyjaśniają im zadanie, które nas czeka, poczem zaczynamy ładować się do promów. Najprzód przejechał sztab bataljonu z dwudziestu żołnierzami, którzy mieli iść w straży przedniej. Przeprawa trwała dosyć długo, przewoźnicy pracowali z całych sił, by prom nie był zniesiony przez wodę zanadto wdół, gdyż tam podobno nad wodą byli już Moskale....

Wreszcie wysoki brzeg rzeki wyłonił się z ciemności przed nami. Wyskakujemy na ląd i żołnierze straży przedniej niezwłocznie wsiągają w mrok nocy, by dojść do miasteczka Korczyna i zabezpieczyć nasze posuwanie się naprzód. Sztab bataljonu zostaje, celem nadzorowania dalszej przeprawy. Odbywa się ona dosyć długo, tak, że dopiero koło północy obydwie kompanje przejechały na lewy brzeg rzeki.

Nadeszli też ordynansi bojowi od straży przedniej, meldując bataljonowemu, że w Korczynie i okolicy nie ma Moskali. Ruszamy więc za łącznikami straży przedniej, po błotnistej drodze w ciemności i deszczu. Mijamy uśpiony, ciemny, jak wymarły Korczyn, poczem wychodzimy na piaszczystą drogę, idącą wgłąb „łądu“ od Wisły w kierunku na Solec. Karabiny rozładowane, bagnety nasadzone na broń. Co chwila możemy natknąć się na straże przednie Moskali, ubezpieczające ich nocleg.

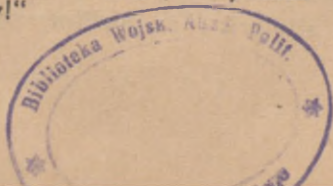
Nerwy nasze hulają, kilka razy bierzemy kiwające się od wiatru krzaki za siedzących na koniach kozaków. Przed każdą wsią zatrzymujemy się i straż przednia sprawdza, czy nie ma tam Moskali.

Wsie są uśpione, w żadnej chacie nie ma światła. Tylko psy ujadają zapamiętałe, czując obcych ludzi. Tak mijamy w grobowym milczeniu wsie: Grotniki Małe, Górną Wolę i zbliżamy się do Ostrowiec. Tu pod wsią, zaczajeni w polu, czekamy świtu.

O brzasku dnia nasza straż przednia natyka się na wedety moskiewskie, które jednak wycofują się po słabej wymianie strzałów. Nie mamy rozkazu pójścia dalej, czekamy więc na bataljon obywatela Satyra.

Już wstał słotny jesienny dzień, a Satyr nie nadchodzi. Możliwe, że poszedł inną drogą, lub zblądził.

Cofamy się więc powoli do wsi Grotniki Małe, żałując, żeśmy nie zdybali Moskali, którzy wycofali się na noc dalej, niż mówiły nasze meldunki. Tu, w Grotnikach Małych, czekamy dalej na bataljon Satyra, odpoczywając i gotując konserwy, gdy wszystkich elektryzuje okrzyk: „kozacy!”



Z okna naszej chaty, górującej nad okolicą, widać rzeczywiście czterech jeźdźców zbliżających się do wsi w luźnej linii, z karabinami gotowemi do strzału, opartemi na udach. Obywatel Karasiewicz zakazał strzelać, by wpuścić Moskali do wsi, tu otoczyć i zabrać do niewoli. Niestety, nim ten rozkaz doszedł wszystkich, jakiś młody, a niecierpliwy żołnierz zaczął strzelać, za nim inni i już fala gorączkowych strzałów poszła w stronę jeźdźców. Ci, naturalnie, zawrócili konie i zwieli do lasu, z którego się pokazali. Obywatel bataljonowy kazał zebrać kompanje, by dojść, kto pierwszy zaczął strzelać i nieopatrznie odkrył nasz pobyt we wsi, oraz udaremnił schwytanie Moskali, gdy nagle jakiś miły głęboki dźwięk zabrzmiał od lasu, a potem — bums! odpowiedział mu drugi, jakby echo, za naszą wsią.

— Artylerja rosyjska! — zawołał jeden z kompanijnych. Rzeczywiście, pierwszy dźwięk był hukiem wystrzału zza lasu, a drugi zwiastował pęknięcie granatu na wygonie, za naszą wsią.

Nam nic się nie stało, tylko stado gęsi, pasące się na wygonie, z krzykiem i gęganiem rozpiezchło się, zostawiając trochę pierza, fruującego w powietrzu.

Moskale więc, dzięki nieostrożnym strzałom do ich kawalerzystów, wykryli naszą obecność we wsi i postanowili dać nam łupnia swoją artylerją.

Nie mieliśmy im czem odpowiadać, gdyż artylerja austriacka była aż za Wisłą, zaczęliśmy więc się cofać ze wsi plutonami w kierunku na Korczyn. Cofaliśmy się wolno i w porządku, mimo że byliśmy pierwszy raz pod ogniem artylerji i że mieliśmy straty. Nim doszliśmy

do Korczyna, poległ od artylerji rosyjskiej obywatel Kret z I-ej kompanji, a ranni zostali obywatele Lechita i Ciemny. Opatrzyłem rannych i, z braku wozów, niosło ich po czterech kolegów na ramionach. Zabraliśmy również ciało obywatela Kreta, by nie zostawić go wrogom i pogrzeb koleżeński sprawić.

Gdy przechodziliśmy po płonącym moście w Korczynie, już razem z odnalezionym bataljonem Satyra, nagle nad głowami naszymi trzasnęło kilka razy: „Trrach! trrach!!“ Młodzi żołnierze, nie orjentujący się jeszcze na polu bitwy, mimowoli pochyliliśmy głowy, ale wnet je podnieśliśmy, bo to artylerja austriacka, na żądanie Obywatela Komendanta, odpowiadała rosyjskiej, przykrywając swemi strzałami nasz odwrót.

— Komendant nam pomaga! — zawołali żołnierze i w doskonałym już humorze, błogosławiąc, złowrogi w pierwszej chwili, suchy trzask armat austriackich ładowaliśmy się powoli do promów, by wrócić na brzeg prawy Wisły. Moskale nie śmieli nas ścigać...

Na drugi dzień pochowaliśmy przy kościółku w Borusowej ciało zabitego obywatela Kreta.

Pamiętamy dobrze tę pierwszą ofiarę dla Niepodległości Polski.

Na pogrzebie był Obywatel Komendant....

W dwa dni później przeprawialiśmy się znów, teraz już całym bataljonem, przez Wisłę, pod Opatowem. Wisła wezbrała nagle wodami Dunajca i bylibyśmy potopili się na naszych promach, gdyby Obywatel Komendant nie wywalczył u austriaków dostarczenia nam

pontonów z saperami. Taki ponton żelazny to nie ciężki prom! Rżnie on przez wodę wpoprzek rzeki, prowadzony przez kilka zgranych wiosła, mimo, że mętne wody Dunajca usiłują go znieść wdół, do Moskali!

Nasz bataljon nie brał udziału w boju pod Winiarami. Staliśmy jedynie przez kilka godzin na lewym górnym brzegu rzeki Wisły, jako rezerwa. Gdy trzeba było przeprowiać się zpowrotem przez wezbrane wody, Obywatel Komendant został na brzegu razem z kilkoma zabitymi strzelcami, gdy nas już ładowano do pontonów. Chcieliśmy zostać z Komendantem, ale bataljonowy huknął na nas, że w wojsku największa miłość przejawia się w największym posłuszeństwie!

Siedliśmy więc do pontonów, patrząc z niepokojem na Komendanta, który zadumany stał nad wodą obok nieruchomych ciał poległych kolegów. Za Nim podobno już tylko słaba nasza straż tylna wstrzymuje z trudem ataki Moskali, prących do Wisły.

Strzały karabinowe, kotłując się za nami, zbliżały się coraz bardziej do rzeki.

Gdyśmy przybijali już do prawego brzegu, z ulgą ujrzeliśmy, że straż tylna składa do ostatniego pontonu ciała naszych kolegów i że do pontonu siada również Obywatel Komendant. Ostatnim żołnierzem, który opuścił zagrożony brzeg, był Komendant!

Byliśmy tak przejęci niepokojem o Jego życie, że gdy wysiadał wśród nas z pontonu już na „naszym“ brzegu, nie śmieliśmy odezwać się ze wzruszenia. Patrzyliśmy tylko na Niego, że jest z nami, że widzimy Go znowu, że mamy Go wśród nas!!

## BITWA POD LASKAMI.

**P**IERWSZA wielka bitwa zostaje w pamięci żołnierza na całe życie. Przynosi ona ze sobą, prócz dużego niebezpieczeństwa dla życia, najczęściej duży głód i duże wyczerpanie sił. Wielka bitwa wymaga więc od żołnierza napięcia całej siły woli. Dla nas, legionistów Brygady Piłsudskiego, pierwsza wielka bitwa wypadła w jesieni 1914 roku, pod wsią Laskami, niedaleko od twierdzy Dęblin, zwanej wtedy przez Moskali — Iwanogorod. Austriacy rzucili nas w bitwę, gdy wykazała się już przewaga sił moskiewskich, gdy właściwie trzeba było już kryć odwrót wojsk austriackich i niemieckich.

Szliśmy wesoło w tę bitwę, żartując, że nuż uda nam się zdobyć twierdzę Dęblin. Weszliśmy 22 października rankiem do lasu, odartego z liści przez wichry jesienne, a kryjącego w sobie rezerwy i artylerję. Przed nami toczyła się bitwa, ale niewiele było z niej widać prócz wybuchów szrapneli i granatów. Pod wieczór weszliśmy do pustej zupełnie i opuszczonej przez ludność wsi Laski, przy odbłaskach pożaru dworu, który zapalił ogień artylerji. Kuchnie nasze nie dojechały przed nocą. Żołnierze zaczęli więc łapać gęsi siedzące na wygonie za wsią, zostawione przez ludność, która uciekła do lasu. Takiej biednej „bezdomnej“ gąsce żołnierze

ukręcają łeb i pieką ją po oblepieniu gliną bez skubania pierza, które później podobno odpada razem z wypieczoną gliną. Nie wiem, jak taka gaska pieczona smakuje, gdyż znużony usnąłem.

Na drugi dzień, 23 października, wieś dostała się pod ciężki ogień artylerji rosyjskiej. Pierwszy tu raz widziałem zabitych żołnierzy austriackich z pourywanemi nogami i wbitych w ziemię siłą wybuchu granatów. Cały dzień staliśmy we wsi, na szczęście bez dużych strat. Późnym wieczorem bataljon nasz podciągnięty został do rezerwowych okopów, leżących pół kilometra za linią bojową. Ogień artylerji rosyjskiej szedł ciągle na opuszczoną przez nas wieś Laski, tak że spaliśmy spokojnie całą noc, zagrzebani po pas w piachu, celem okrycia się od zimna i kulek karabinowych, ~~przełatu~~ jących nad głową. Było nam dobrze zimno, ale jeszcze względnie bezpiecznie. Dopiero rankiem 24 października bataljon nasz dostał rozkaz posunięcia się naprzód i zajęcia okopów przedniej linji. Zbieramy więc swoje plecaki i wydobywamy zeszytniałe członki z zimnego piachu. Moskale widocznie zauważyli ruch naszych kompanij, bo nagle spadł na nas i na pole przed nami grad pocisków ciężkiej artylerji. Huk i kurz powstał wokoło nas taki, że świata nie widać. Do tego nad głową leci coraz więcej bzykających kulek karabinowych. Pierwszy wyskoczył z dołu obywatel Karasiewicz, komendant naszego bataljonu; wyskakujemy za nim, śpiewając dla dodania sobie otuchy: „Naprzód, drużyno strzelecka!”

Biegniemy wśród kurzu i odłamków pocisków, gdy

wtem pada obok mnie ranny obywatel Karasiewicz. Jednocześnie ranny zostaje również kulką karabinową podporucznik Dojan. Kompanje wyprzedzają nas, biegnąc naprzód. Ja opatruję ranę w płuca obywatela Karasiewicza i raną nogę Dojana, poczem zostawiam ich pod opieką obywatelki Ludki, będącej sierżantem prowiantowym w jednej z kompanij naszego bataljonu. Staram się dopędzić bataljon, ale liczni ranni, leżący w polu, których muszę opatrzyć i odesłać przez sanitariuszy do wsi, opóźniają mój marsz naprzód. To też dopiero popołudniu, ciągle w strasznym ogniu artylerji i piechoty, wbiegłem do okopu zajętego przez nasz V bataljon, nad którym komendę objął obywatel Sław. Było tu nieco zaciszniej od pocisków artylerji i kul karabinowych. Dopilnowałem transportu rannych. Wieczór i noc spędziłem na punkcie opatrunkowym, założonym przez porucznika doktora Roupperta we wsi Laski.

Rano 25 października wybrałem się znów do okopów, by sprawdzić zaopatrzenie rannych i zanieść kawy, której kuchni po otwartem polu dowieźć tam nie mogły. Obwiesiłem się więc manierkami z gorącą kawą, wziąłem torbę lekarską i ruszyłem w kierunku okopów. Niestety, Moskale coś upatrzyli sobie do mej drogi, bo otworzyli ogień artyleryjski, wcale nie gorszy od wczorajszego. Nie szedłem więc zbyt szybko, gdyż co chwila padałem na ziemię lub rzucałem się do dawnych wyrw po granatach, by nie dopuścić do podziurawienia przez odłamki pocisków manierek, no i mojego ciała również. Tak, kładąc się i wstając, biegnąc i leżąc naprzemian,

szedłem całą godzinę 2 kilometry, dzielące wieś od okopów.

W okopach zastałem naszych rannych dobrze już opatrzonych. Kawa moja wywołała prawdziwy entuzjazm wśród rannych i zdrowych żołnierzy. W okopie panowało gorączkowe podniecenie. Pukanina naszych karabinów mieszała się z wybuchającymi pociskami artylerji i świstem kul karabinowych rosyjskich, idących nad naszemi głowami. Obywatela Sława zastałem przy plutonie roboczym, którego zadaniem było pogłębienie i wydłużenie rowu dobiegowego, biegnącego od okopów w kierunku wsi. Żołnierze nasi po dwudniowym już pobycie w okopie, bez należytego snu i odżywienia, niechętnie kopali suchy, lotny, zimny piasek. Wogóle wtedy, na początku wojny, uważaliśmy jeszcze kopanie okopów za zajęcie bardzo drugorzędne, niegodne prawdziwego żołnierza. Toteż, gdy obywatel Sław przynaglał do pośpiechu w kopaniu, jeden z żołnierzy powiedział z niechęcią:

— Obywatelu bataljonowy, melduję, że wyślim bić się za Polskę, a nie rowy kopać!

Obywatel Sław spojrzał surowo na śmiałka, a potem:

— Obywatele, za chwilę nadejdzie tu Obywatel Komendant, czyż dopuścicie, by przez wasze lenistwo Komendant siedł pod ogniem przez pole do okopów!?

Było to doskonałe powiedzenie przełożonego, przemawiające do uczucia żołnierzy. Już chłopcy nie słuchali dalej. Dwadzieścia łopatek zaczęło pracować z takim zapałem i siłą, że w godzinę później, gdy nadszedł Obywatel Komendant, Sław przeprowadził Go do oko-

pów przez pogłębiony rów dobiegowy. Naturalnie rowem dobiegowym można było już teraz wynosić rannych i dostarczać amunicję. Przybycie Komendanta było tylko pobudką do przyśpieszenia roboty. Obywatel Komendant szedł wzdłuż okopu i obserwował dłuższy czas stanowiska rosyjskie, wypytując żołnierzy o ich osobiste obserwacje co do nieprzyjaciela — i cele, do których strzelają. Ponieważ chłopcy nasi podtrzymywali ogień zbyt nerwowy i szybki, często nie umiejąc wyjaśnić, do czego strzelają, Obywatel Komendant nakazał strzelać jedynie do celów widocznych, To też w pół godziny po przybyciu Obywatela Komendanta do okopów ogień nasz stał się rzadki, lecz celny, a samopoczucie i spokój żołnierzy wzrosły do niepoznania. Po godzinie pobytu u nas Komendant przeszedł do okopów sąsiedniego bataljonu. Tak obecność Komendanta, choć krótka, podniosła na duchu naszych zmęczonych żołnierzy.

Następnego dnia, 26 października, Austriacy zaczęli się wycofywać w ciągu całego popołudnia. Pod wieczór wyprawiliśmy wszystkich naszych rannych do szpitala polowego, gdyż nadeszła zapowiedź, że wieczorem mamy rozpocząć odwrót. Nie czuliśmy się wcale pokonani, ani wyrzuceni z okopów. Odwrót mieliśmy wykonać jedynie na rozkaz zgóry. Ogień rosyjskiej artylerji wzmógł się o zmroku i w pięciu miejscach wsi wybuchły pożary. Nie było ich komu gasić, gdyż wszyscy zajęci byli już przygotowaniami do odwrotu. Wieczorem ogień armatni i karabinowy zaczął stopniowo cichnąć. Zapanaowała cisza i ciemność, tylko w pięciu miejscach dłu-

giej wsi chaty płonęły, rzucając wokoło iskry na ziemię i lunę na niebo. Doktor Rouppert, wyjeżdżając z rannymi, polecił mi zostać z kilku wozami aż do nadejścia straży tylnej. Celem moim było zabrać wszystkich rannych, którzy mogli jeszcze zostać w okopach. Stanęliśmy z medykiem Janem Gołębem i trzema sanitariuszami obok płonącego wiatraka, który palił się z trzaskiem, oświetlając okolicę jak pochodnia. Byliśmy sami, od czasu do czasu tylko przechodziły obok nas austriackie i nasze kompanje, cofające się z okopów. Nazbieraliśmy od nich kilku lekko rannych, którzy zachowali swoją broń. Ze względu na ich osłabienie posadziłem wszystkich na wozy. Czekaliśmy tak w natężeniu rozkazu odmarszu i nadejścia straży tylnej, gdyż każdej chwili mogli nadejść Moskale, jeżeli zauważyli cofanie się naszych z okopów. Mijały jednak kwadransy, na froncie robiło się coraz ciszej, a nasza straż tylna nie nadchodziła. Wreszcie z ciemności wynurzył się jakiś oficer, wołając zdaleka, kto jesteśmy. Za chwilę podszedł do nas, pytając, czy nie widzieliśmy Obywatela Komendanta. Powiedział, że wszystkie nasze oddziały już się wycofały, za chwilę ma przejść ostatnia kompanja, a niewiadomo, czy Obywatel Komendant jest przy niej. Powiedziawszy to, oficer udał się na dalsze poszukiwania. Przyznam się, że zaniepokoił się o los Komendanta. Jeden z rannych mruknął:

— Jeszcze nam Mochy Komendanta zabierają!

— Głupiś, Komendant im się nie da! — odpowiedział mu inny.

Jakoż za chwilę usłyszeliśmy głosy i stapania wielu

żołnierzy i z ciemności wynurzył się Obywatel Komendant, a za Nim — bagnety straży tylnej. Zameldowałem posłusznie, że mam pięciu rannych i czekam na straż tylną, by razem odmaszerować.

— Czy macie doktorze jeszcze miejsce dla rannych bo nie wolno zostawić nikogo! — powiedział Komendant, podchodząc do wozów.

— No, jak się czujecie, obywatele? — zagadnął jednocześnie rannych.

— Dobrze, Obywatelu Komendancie — odpowiedzieli, pokazując karabiny — jakby co, to my m u jeszcze pokażemy!

Obywatel Komendant poszedł naprzód z kilku oficerami w kierunku naszej kolumny głównej. Za kilka minut przyszedł rozkaz dla straży tylnej rozpoczęcia odwrotu. Odmaszerowaliśmy razem w ciemną noc. Wozy skrzypiały cicho na polnej drodze, ranni klęli i jęczeli, gdyśmy wjeżdżali na kamienie. Za nami paliły się Łaski i milkły ostatnie strzały Moskali. Cisza huczała w uszach po czterech dniach gwałtownej kanonady. Wszedł księżyc i przy jego blasku minęliśmy folwarczne zabudowania Suskiej Woli. Nikt nas nie ścigał... Już tylko łuna nad Łaskami znaczyła miejsce, gdzieśmy pochowali w piasku tylu zabitych naszych żołnierzy.

Ściśle według rozkazu Obywatela Komendanta nie zostawiliśmy ani jednego rannego kolegi!

## RANNY KOMENDANT NASZEGO BATALJONU OBYWATEL SŁAW.

**J**UŻ dwa tygodnie bijemy się na Podkarpaciu z Moskalami, którzy, dzięki nieudolności Austrjaków, zajęli całą Małopolskę aż po Kraków. My trzymamy się przeciw przeważającym siłom Rosjan w okolicy miasteczka Limanowa. Niedużo Polskiej ziemi zostało za nami: blisko Tatry, a za nimi przecież już nie Polska, ale Węgry.

Obywatel Komendant postanowił, że tego ostatniego skrawka ziemi Polskiej już nie opuścimy, nawet gdyby Austriacy wycofali się z niego. Zostaniemy tutaj, choćbyśmy zamknąć się mieli w górach za Nowym Targiem i Zakopanem, choćby przyszło nam zginąć z głodu, chłodu i kuli wroga, a tego serdecznego górskiego kraju nie oddamy, chyba razem z życiem.

Tymczasem Moskale prą naprzód wielką masą piechoty i kawalerji z armatami i karabinami maszynowymi, których my nie mamy. Jest nas mało, brak nam butów i ciepłego ubrania, a tu już koniec listopada, mróz w nocy dobry bierze, i śniegi spadły już obfite. Ale wiemy zato, że bijemy się pod Komendantem Piłsudskim za kraj, którego ludność tak bardzo nam sprzyja. W każdym osiedlu góralskiem znajdujemy serca

ludzi, dzielących się z nami wszystkim, co mają. Chleba ludność ma już niewiele, ale dostajemy zato na posiłek gorącego mleka. Młodzi górale chodzą na zwiady od wsi do wsi i donoszą nam, gdzie są Moskale, gdzie się na noc zatrzymują i jakie mają siły.

Późnym wieczorem dnia 25 listopada 1919 roku nasz Piąty Bataljon stanął na kwaterach we wsi Słopnica Królewska. Rozbierać się nie było wolno ze względu na bliskość Moskali, żołnierze suszyli więc przemoknięte obuwie przy ogniu na kominie, nie zdejmując butów z nóg. Potem, po wczesnej wieczerzy kładli się gęsto na słomę, w płaszczach i rynsztunku, z karabinami przy boku.

Komendantem bataljonu był wtedy młody, ale doświadczony już i waleczny żołnierz — obywatel porucznik Sław.

Kwaterna nasza była w małym domku obok cmentarza obwiedzonego murem kamiennym, prawie całkowicie zasypanym śniegiem. Noc przeszła spokojnie, dopiero o świcie Moskale uderzyli na nasze placówki, ubezpieczające wieś. Nasze kompanje szybko zajęły wyznaczone im wzgórza za wsią — i wschodzące słońce zimowe oświetliło już bitwę w pełni rozwoju. Żołnierze okopywali się w śniegu, gdyż trudno było „ugryźć” łopatką zmarzłą kamienistą ziemię. Do południa szło nam jeszcze nieźle. Trzymaliśmy się na wzgórzach za wsią, mimo przewagi Moskali, którzy koniecznie chcieli zepchnąć nasz bataljon w kierunku wsi Jurków, gdzie były główne siły i Sztab Brygady. Bataljonowy Sław, adjutant bataljonu, ja i ordynansi bojowi kom-

panij staliśmy za kamiennym murem cmentarza, obok chaty, w której spędziliśmy noc. Mieliliśmy już kilku rannych, których odesłałem po opatrzeniu, gdy tuż popołudniu Moskale wprowadzili do bitwy karabiny maszynowe i armaty. My, niestety, mogliśmy odpowiadać na ich ostry ogień jedynie z naszych karabinów. Coraz gęściej szły kulki moskiewskie. Pociski artylerji padały na szczęście za nami. Obywatel Sław, by lepiej widzieć przez lornetkę ruchy Moskali, wyszedł na ośnieżone wzgórze, leżące obok chaty. W tej chwili został ranny w lewą nogę w okolicy stawu kolanowego. Pobladł, zachwiał się, ale z naszą pomocą dokuśtykał do chaty. Szybko rozciąłem spodnie, opatrzyłem ranę od kuli karabinowej, krwawiącą zlekka i, ze względu na bliskość stawu kolanowego, nałożyłem szynę z tektury, którą wziąłem z jakiegoś obrazu. W izbie panował już zmrok, gdy kończyłem opatrunek rannego obywatela Sława. Chciał dowodzić dalej bitwą, wyszedł nawet z nami przed chatę, ale osunął się na nasze ramiona i podstawione nosze. Słońce już zachodziło. Z prawego naszego skrzydła zaczął niepokojąco trajkotać rosyjski karabin maszynowy. Za chwilę nadbiegł łącznik z prawoskrzydłowej kompanji z meldunkiem, że Moskale obchodzą nasze prawe skrzydło drogą od miasteczka Tymbarka. Obywatel Sław, leżąc na noszach, nakazał odwrót. Łącznicy pobiegli do kompanij. Już też zapadający zmrok osłaniał nasze ruchy odwrotowe. Żołnierze grupkami ściągali z pozycyj na drogę do Jurkowa, omawiając żywo wielką przewagę sił moskiewskich. Mimo zmroku karabin maszynowy moskiewski nie prze-

stawał ostrzeliwać naszych oddziałów. Nadszedł komendant kompanji obywatel Wir i Sław polecił mu osłaniać odwrót. Już kolej na nas wycofać się ze wsi. Trzeba przejść przez pole obstrzału moskiewskiego karabinu maszynowego, który bije jak opętany. Chwytamy nosze z rannym obywatelem Sławem i zaczynamy biec po zmarzniętym gruncie wąskiej kamienistej drogi górskiej. Byle tylko dobiec do najbliższych chałup wsi, potem już łatwiej się schować. Przy pierwszej chałupie leży wielka kupa nawozu. Tu jeden z sanitarjuszy poślizguje się i pada z noszami. Chwytam drążki noszy i wpadamy za zburzoną chałupę, mając koło głów roje dokuczliwych moskiewskich kulek. Tu odpoczywamy chwilę, spoceni serdecznie, mimo chłodnego wieczoru. Obok nas zbierają się powoli kompanje bataljonu. Żołnierze są pomęczeni całodzienną bitwą o głódzie, ale humor mają dobry. Już i strzelanina zaczyna cichnąć. Moskale spostrzegli nasz odwrót, ale nie gonią nas. Wiedocznie oni też mają duże straty, albo boją się w nocy iść za nami. Kompanje maszerują wąską kamienistą drogą górską. Z początku żołnierze niosą obywatela Sława na zmianę, później jednak, gdy grunt staje się bardzo kamienisty, sadzamy rannego na konia, gdyż niosący żołnierze przewracają się co chwila, co sprawia rannemu ból niepotrzebny. Tak dochodzimy do wsi Jurkowa. Chcę towarzyszyć obywatelowi Sławowi do punktu opatrunkowego doktora Roupperta, ale ranny mój przełożony każe iść do Obywatela Komendanta, zameldować o przebiegu bitwy i konieczności wycofania się. Po krótkich poszukiwaniach znalazłem kwaterę Sztabu

Brygady. Zastałem Obywatela Komendanta w ciemnej chacie, gdyż brakło nafty i świec. Ogień na kominie oświeślał od czasu do czasu postać Komendanta, siedzącego w swetrze przy stole. Zameldowałem, jak umiałem, przebieg bitwy, ilość naszych rannych i obejście nas przez Moskali od miasteczka Tymbarka. Nawet zapomniałem nazwy miasteczka, ale Obywatel Komendant mi ją podpowiedział. Szczegółowo opowiedziałem, na rozkaz Komendanta, o okolicznościach zranienia obywatela Sława i niepokojącym stanie jego rany z powodu bliskości stawu kolanowego, poczem wyszedłem, by szukać we wsi rannego. Zastałem go w jednym z sąsiednich domów, leżącego na łóżku, ogrzanego już gorącą kawą. Ranny nie myślał o swojej ranie, lecz niepokoił się, czy dostatecznie umotywowalem przed Obywatелем Komendantem konieczność naszego odwrotu. Uspokajałem obywatela Sława, jak mogłem, ale widać było, że niemożność wytłumaczenia się przed Obywatелем Komendantem boli go więcej, niż rana nogi.

Doktór Rouppert kazał zajechać saniami, by odwieźć rannego Sława do szpitala polowego, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Obywatel Komendant w swoim kożuszku, otoczony chmurą mroźnej mgły, idącej z dworu do chaty. Wielka radość odbiła się na twarzy rannego bataljonowego Sława, chciał usiąść na łóżku, by godnie przywitać Komendanta, ale Obywatel Komendant, siadając, mówi:

- Leżcie chłopcze, no jak się czujecie?
- Obywatelu Komendancie, melduję, że musieliśmy się wycofać, gdyż Moskale dużą siłą obchodzili nas od

Tymbarka — zawołał gorączkowo ranny, szukając wzrokiem oczu Komendanta.

— Dobrze, dobrze, nie myślcie o tem — odpowiedział Komendant, uspokajając rannego i aprobując jego zarządzenie.

Fala radości napłynęła wraz z rumieńcem znów na bladą twarz rannego.

Już weszli sanitariusze z noszami, by wynieść rannego do sań.

Obywatel Komendant podniósł się i pocałował bataljonowego w czoło, mówiąc:

— Wracajcie, Sław, prędko!

Ranny aż zamknął oczy pod ojcowskim pocałunkiem Komendanta. Sanitariusze okryli Sława kocami i nieśli już do sań. Na dworze księżyc świecił, jasno oświetlając mroźne, ośnieżone wzgórza i chaty. Gdzieś zdala padały strzały naszych placówek. Komendant odchodził wolno do Sztabu, rzuciwszy ostatnie pożegnanie odjeżdżającemu saniami obywatelowi Sławowi.

## CHORA DZIEWCZYŃKA WE WSI MOSTKI.

**B**YŁO to w maju 1915 roku. Trzeci już dzień goniliśmy Moskali, którzy w nocy uciekli ze swoich okopów nad rzeką Nidą. Trudno było ich dopędzić, bo, trzeba im to przyznać, wrywali dobrze, a my odwykliśmy od marszów przez pół roku walk pozycyjnych. Do tego gorąco panowało straszne, a i wody brakło po drodze. Szliśmy piaszczystymi drogami przez rzadko rozrzucone wsie, nie napotykając nigdzie większej rzeki. Studnie po wsiach były przeważnie już wypróżnione przez maszerujące przed nami oddziały. Bo nasza Brygada to już teraz wielka siła: trzy pułki piechoty, artylerja, karabiny maszynowe i tabory — wielka więc ilość ludzi i koni. W niektórych wsiach ludność, widząc że to nie „germancy“ (Niemcy) i słysząc polską mowę, wynosiła na drogę wodę w dzbankach i wiadrach. Żołnierze, zatrzymując się tylko na chwilę, czerpali wodę do manierek, poczem biegiem dopędzali kolumnę. Przeważnie jednak wszędzie wody już brakło i biedni chłopcy w marszu dzwonili pustymi manierkami. Szli miarowo, w gęstym obłoku kurzu, wiszącym nad kolumną, pochyleni pod ciężarem plecaków, w porozpinanych mundurach, pragnąc zwilżyć choćby odrobiną wody spieczone usta. W niektórych studniach znajdowaliśmy

zaledwie parę wiader zmaczonej, gliniastej wody, która była mimo to rozchwytywana. Tak było przez dwa dni. Na trzeci dzień weszliśmy w dolinę rzeki Czarnej i tu odżyliśmy nieco. Piachy były tak samo głębokie i sypkie, ale wzdłuż rzeki dął orzeźwiający wiatr, chłodzący rozpalone czoła. We wsiach było już więcej studzien i wody. Każdy pił, ile chciał!

Most na rzece Czarnej był tak wąski, że przeszliśmy go, idąc po dwóch, co znacznie opóźniło marsz.

Wreszcie doszliśmy do wsi Mostki, leżącej w dolinie rzeki. Chłopcy co chwila pytają wieśniaków, jak daleko Moskałe. Wszędzie ta sama odpowiedź: „Już dwa dni jak pošli!“

— My ich i tak dogonimy ! — krzyczą buńczucznie chłopcy.

Zatrzymujemy się we wsi na duży odpoczynek i wydanie obiadu z kuchen polowych. Już żołnierze po złożeniu broni w kozły biegną z menażkami do kuchen polowych, dymiących apetycznie parą unoszącą się z gorącej zupy. Cicha wieś napełniła się gwarem, śpiewami, krzykiem i dzwonieniem menażek. Kwatera komendy pułku wypadła w małej chatce na brzegu wsi. Wchodzimy głodni i spragnieni po sześciogodzinnym marszu, oczekując w najlepszym razie chleba z marmeladą i herbaty, gdy oto widzimy, leżący na stole, kawał szynki!! Nie myślcie, że żartuję: była to prawdziwa, świeżutka szynka, w miarę tłusta i w miarę chuda — szynka, której nie oglądaliśmy już od dobrych kilku miesięcy, bo od samej Wielkiejnocy!!

Okazuje się, że parę funtów szynki udało się kupić

naszemu oficerowi prowiantowemu w miasteczku Staszowie, leżącym na boku od naszej drogi. Radośnie kroimy chleb i kładziemy nań plasterki szynki, które, niestety, wcale nie jest za dużo. Ledwie zaczęliśmy jeść, gdy wpada do izby ordynans, krzyząc: — Komendant jedzie!

Zrywamy się od stołu.

— Prosimy Komendanta na szynkę! — woła obywatel major Trojanowski.

Jesteśmy już na drodze. Rzeczywiście, piaszczystą większą drogą jedzie powoli Obywatel Komendant, patrząc na żołnierzy, biorących obiad z kuchni. Jest zakurzony i zmęczony tak, jak my wszyscy.

Major Trojanowski podbiega do Komendanta i prosi do naszej chaty, mówiąc, że mamy szynkę.

— Macie szynkę, doskonale — mówi Obywatel Komendant, schodząc z konia.

Idziemy gwarnie i radośnie do chaty, gdzie już ordynansi postawili dla Komendanta talerz cynowy i kubek blaszany z gorącą herbatą. Gospodyni co chwilę przynosi ze dworu naręcze gałęzi sosnowych i dopycha je do ognia na kominie, by zagotować jak najprędzej herbatę.

Jemy już chwilę, słuchając, jak Obywatel Komendant rozmawia z majorem o utarczkach, które ma Belina z Moskalami daleko przed nami, gdy wtem z pod prześcieradła, którem nakryte jest jedno z łóżek, odzywa się kaszel, a potem ochrypli głos dziecięcy:—Mamooo!!

Oglądamy się — na łóżku siedzi mała rozespana

dziewczynka lat może ośmiu, chuda, biedactwo, mizerna, kaszle i woła mamy.

— Cichaj — zawołała gospodyni, dokładając gałęzi do pieca — zaro zagrzeję ci barszczu!

— Aa, mała gosposia — powiedział Obywatel Komendant, wstając od stołu i głaszcząc potarganą głowę dziewczynki. — A co taka blada? — zapytał gospodyni.

— Bóg wi od czego choruje — wystraszyła się jak na pocuntku wojny armaty strzylały za rzyko. Nase doktory wojenne tu były, mówiły, że słabowito, trza jeść dobrze dawać, a skąd to wziąć dobrze jeść, jak wojna — dodała bezradnie.

— Ale szynki zjesz mała? — zapytał Komendant, stając z talerzem w ręce przy łóżku.

Dziewczynka, zmieszana, nic nie odpowiadała, patrząc tylko swemi wielkimi oczami na Komendanta.

— O la Boga, panie starszy, zeby ino i dać! — zawołała zamiast niej matka.

Komendant zdjął plasterek szynki ze swego chleba i podał dziewczynce — ta chwyciła szynkę w chudą rączynę i zaraz jeść zaczęła.

— Podzinkuj panu starszemu! — strofowała ją bezskutecznie matka, gdyż, nic nie mówiąc, dziecko jadło spokojnie swą szynkę.

Ledwie Obywatel Komendant siadł do herbaty, gdy wtoczył się do izby, brzęcząc ostrogami i czepiając karabinkiem i hełmem wąskie odrzwia izby, zakurzony wysoki ułan — „beliniak“. Stuknął obcasami i oddał Obywatelowi Komendantowi meldunek. W chwilę po

przeczytaniu meldunku od Beliny, Obywatel Komendant już wychodził z izby, by jechać naprzód, gdyż Moskale zatrzymali się i zaczynają stawiać opór naszej kawalerji. W ostatniej chwili, jakby przypominając sobie o chorej dziewczynce, Obywatel Komendant zwrócił się do mnie, mówiąc: — Doktorze, zbadajcie dziecko i pomóżcie, co można.

— Rozkaz — odpowiedziałem. Wyszliśmy na drogę. Za chwilę Komendant dosiadł „Kasztanki“ i odjechał z „beliniakami“ w kierunku Moskali.

Zbadałem chorą dziewczynkę, która była bardzo wycieńczona, i zostawiłem proszki od kaszlu, pouczywszy gospodynię, jak ich używać.

Już wiadomość, że Moskale zatrzymali się niedaleko i że będziemy się bić, przeniknęła do naszych żołnierzy. Zbiórka do marszu odbywała się przy śpiewie:

„Nasz Komendant pójdzie z nami,  
Będziem walczyć z Moskalami!“

Wielu żołnierzy pozatykało na znak radości i ochoty w lufy karabinów gałązki bzu. Wszyscy byli weseli i podnieceni możliwością niedalekiej bitwy i zaprzestania uciążliwego marszu po sypkich piaskach. Siedliśmy na konie, kolumna piechoty ruszyła wiejską drogą. W oknie „naszej“ chaty gospodyni trzymała na ręku owiniętą w prześcieradło małą słabą dziewczynkę, z którą Obywatel Komendant podzielił się plasterkiem szynki.

## DO KOMENDANTA!

**W**E wrześniu 1915 roku Austriacy podzielili Pierwszą Brygadę na dwie części. Piąty pułk Berbeckiego i Czwarty Roji z trochę kawalerji stały w okopach, leżących w okolicach Kołek nad Styrem. Grupa ta była pod dowództwem Obywatela Komendanta. Reszta Brygady, t. j. Pierwszy i Siódmy pułki, część kawalerji i artylerji, pod komendą obywatela Śmigłego, a później Sosnkowskiego, znajdowała się w okolicy stacji kolejowej Maniewicze, koło 50 kilometrów na północny zachód od Kołek leżącej. Sam fakt, że Austriacy ośmielili się rozdzielić Brygadę i rozłączyć część naszych oddziałów z Obywatелеm Komendantem, napawał nas goryczą i oburzeniem. Nie było jednak wiele czasu na wyrażanie tych uczuć. Musieliśmy staczać krwawe bitwy z przeważającemi siłami Moskali pod wsiami: Jabłonką, Kukłami, Kamieniuchą, Dużem Miedwieżjem, krótko mówiąc, wszędzie, gdzie Austriacy, a nawet Niemcy cofnęli się, albo załamali w ataku. Pchali nas chętnie w te wszystkie dziury na froncie, a my pokazywaliśmy im, jak żołnierz polski bije się i zwycięża. Nie przyszło to nam jednak za darmo. W każdej z tych dużych bitew i w mniejszych potyczkach w lasach Wołynia traciliśmy w ran-

nych i zabitych dużą ilość naszych najlepszych kolegów. Oddziały nasze topniały, z każdym miesiącem, tracąc kilkuset ludzi. Dołączyła się do tego surowa jesień wołyńska z roztopami, pluchami jesiennymi i wczesnymi mrozami, gdy większość naszych żołnierzy była bez butów, ubrania i płaszczy. Tak nędznie odziani musieli spędzać długie noce jesienne w okopach, pozabawionych ziemianek, albo w marszach przez podmarznięte błota, pola i lasy. Rzuciły się też na nas choroby, wykruszając z szeregów to, co ocalało w bitwach.

Szkoda długo gadać o naszych biedach, dość że do miesiąca listopada zostało nas mniej niż połowa tego, co było jeszcze we wrześniu. Napróżno staraliśmy się o połączenie naszych uszczuplonych oddziałów z Komendantem, napróżno marzyliśmy o pójściu do Niego nad rzekę Styr. Austrjacka Komenda Legjonów postanowiła złamać w nas ducha Niepodległości, trzymając nas zdaleka od wpływu Komendanta. Sztabowcy austrjacy myśleli, że podzieliwszy nas na części, złamają opór „Polskiej bandy“. Tak nas nazywali zato, żeśmy nie słuchali nikogo, prócz Obywatela Komendanta.

Przeliczyli się jednak fatalnie. Żołnierz nasz, wyczerpany bitwami, źle odziany i odżywiany, tęsknił i rwał się całą duszą wiernego podkomendnego do Wodza, przypisując wszystkie nasze ciężkie przejścia właśnie nieobecności Komendanta. Imię Komendanta jeszcze raz stało się symbolem zbawienia i wyzwolenia z pod władzy Austrjaków. To też, co parę tygodni przy kuchniach polowych, w taborach, na stacjach tele-

fonów zjawiały się wieści, że „na pewno“ już idziemy za parę dni do Komendanta. Z początku wieściom tym dawaliśmy wiarę, gdy jednak kilka razy zawiodły, machnęliśmy na nie ręką.

Nie uwierzyliśmy też tym wieściom, gdy w połowie listopada zjawily się znowu w naszych okopach i ziemiankach w okolicy wsi Wołczek.

Tym razem jednak, właśnie, wieści o pójściu do Komendanta miały się sprawdzić całkowicie.

Był wczesny zmrok 23 listopada, gdy wysyłałem kilku chorych żołnierzy do szpitala. Leżeli już parę dni w mojej ziemiance bez polepszenia stanu zdrowia i spadku gorączki. Kuśtykali więc w tej chwili po śniegu z plecakami w rękę do wozu, który miał ich odwieźć do szpitala polowego. Gdy już paru chorych zajęło miejsca na siedzeniach z wiórów drzewnych i wóz szykował się do odjazdu, gruchnęła wieść, że jutro rano na pewno maszerujemy do Komendanta. Tę radosną nowinę przyniósł telefonista, sprawdzający linję. Nie było więc już wątpliwości: wiadomość była z pierwszego źródła.

To też wnet radosne: Hurra, idziemy do Komendanta! zaczęło rozbrzmiewać w ośnieżonym lesie, mieszczącym rezerwę naszego pułku. Stałem przed moją ziemianką, dzieląc radość ogólną, gdy zauważyłem jakiś podejrzaný ruch przy wozie, do którego siadali moi chorzy. Nagle, jak na komendę, wszyscy zaczęli złazić z wozu i nakładać plecaki, które przed chwilą ledwie wlekli po śniegu. Jeden z chorych, kaprał, podszedł dość żwawo do mnie, zasalutował i mówi: Obywatelu

doktorze, my już do szpitala nie idziemy, do szpitala zawsze czas trafić, teraz trzeba iść do Komendanta, bośmy Dziadka już trzy miesiące nie widzieli!

Inni chorzy stali tuż za nim, już w plecakach, wóz mający jechać do szpitala był pusty. Napróżno tłumaczyłem im, że mają gorączkę i nie zajdą do Kołek, od których dzieliło nas kilkadziesiąt kilometrów, odpowiadali wciąż jedno: Trzy miesiące nie widzieliśmy Dziadka!

Nie było rady, przenocowali u mnie w ziemiance, by na drugi dzień, w chwili odmarszu, dołączyć się do swoich kompanij. Tak też się stało.

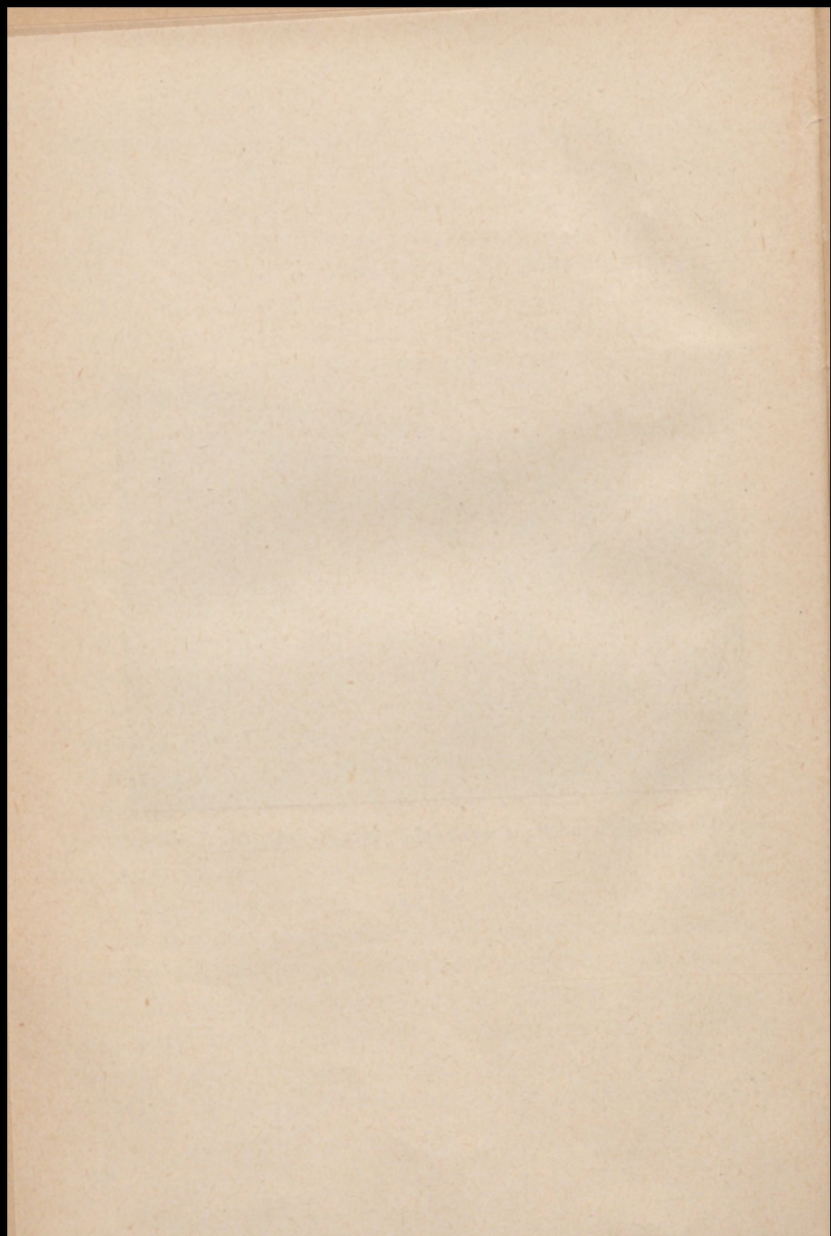
Nazajutrz, chłodnym jesiennym rankiem, po wilgotnym śniegu różniliśmy radośnie do wsi Wołczek, gdzie była zbiórka obydwóch pułków. Mówi się „pułków“, ale pułki te były mniejsze od dobrych bataljonów. Mieliliśmy kompanje, liczące zaledwie trzydziestu ludzi.

Myśl, że idziemy do Komendanta kazała nam zapomnieć o wszystkich trudach i cierpieniach. Chłopcy, w podartych płaszczach, bez butów, brudni i zawszeni, wznosili radosne okrzyki ku szczeremu zdziwieniu poważnych Niemców i Austriaków. Nie zwracaliśmy na nich uwagi i rekordowym marszem różniliśmy przez lasy i moczary z Wołczeka na Jabłonkę, w kierunku Kołek. Na nocleg przyszło kilku chorych z opóźnieniem, wlokąc się za kolumną, niektórzy przysiadali się chwilkami na wozy, ale nikt nie chciał zostać w napotykanym po drodze szpitalach polowych — wszyscy szli resztkami sił do Komendanta.

Na drugi dzień, 25 listopada, po wczesnym obiedzie,



Obywatel Komendant w okopie „Reduty Piłsudskiego”



zbliżaliśmy się już do Kołek, gdzie znajdował się Komendant. Gdyśmy byli już parę kilometrów od rzeki Styru, przez kolumnę wionęła wieść, że Obywatel Komendant wyjechał naprzeciw nas i że odbierze defiladę....

Nikt nie dał znać po sobie, ale wszyscy głęboko wzruszyliśmy się dobrocią Komendanta. Zatrzymano kolumnę, by doprowadzić ją do porządku. Żołnierze, jak mogli, narządzali swój ubiór i rynsztunek. Jedni obciążali potargane płaszcze, by zakryć brak ubrania, inni owiązywali sznurkami buty, które rozłaziły się na nogach. Oficerowie odesłali konie do taborów, by nie psuć kroku nielicznych swych żołnierzy. Już ustawiamy się do defilady. Przed nami Pierwszy pułk z orkiestrą, grającą marsza Brygady, już rusza z miejsca.

Do komendanta naszego pułku, obywatela kapitana Satyra, podjeżdża galopem po zmarzniętej piaszczystej drodze oficer z Brygady, meldując, że defilada będzie wprawo, a Obywatel Komendant znajduje się w odległości pół kilometra na jednym ze wzgórz, leżących nad rzeką. Wyteżamy wzrok we wskazanym kierunku, ale widzimy narazie tylko grupę ludzi stojących na porośłym krzakami jałowca, piaszczystym pagórku. Już wychodzimy z lasu na pustą równinę, już dostrzegamy na wzgórzu znaną sylwetkę Komendanta.

— Do defilady! — woła obywatel kapitan Satyr...

— Defilada wprawo! — podchwytują kompanijni...

Już widać dobrze Komendanta. Głowy, rzucone wprawo, zwróciły się w kierunku Wodza.

Stężały nasze twarze w skupieniu powagi chwili, oczy zabłyśły ogniem oddania i miłości.

Ostro uderzyły nogi żołnierzy w zmarzły grunt, ale kiepsko obute stopy nie wydały jednolitego huku, jak na placu ćwiczeń. Kolumna w ciszy posępnego dnia zimowego płynęła sprężysto obok wzgórza, na którym stał Komendant. Spojrzeniami naszemi szukaliśmy Jego oczu, tak dawno niewidzianych. Wzrokiem, oddanym na śmierć i życie, meldowaliśmy Mu, żeśmy przyszli tu do Niego wszyscy, żywi, zdrowi i chorzy, że brakuje tylko poległych na śnieżnych ugorach, błotach i polanach leśnych Wołynia.

Obywatel Komendant, stojąc pieszo na wzgórzu, w swym szarym kożusku, salutował cały czas przemarszu naszą kolumnę.

Już minęliśmy wzgórze, już gwar okrzyków, śmiechu i nawoływań wybucha w szeregach żołnierzy.

Jest nam dziwnie lekko, wesoło i bezpiecznie.

Chłopcy żartują, że będziemy mieli teraz wypoczynek i „fasunek“, ile wlezie.

Mijamy most na rzece Styry i zajmujemy ciasne, ale ciepłe kwatery, jakich już dawno nie mieliśmy.

Na drugi dzień musiałem wysłać do szpitala kilku chorych gorączkujących, tak słabych, że trzeba było wsadzać ich na wóz, do którego nie mogli dojść o własnych siłach...

Wczoraj jeszcze maszerowali w czasie defilady!

Resztką woli i wysiłku dowlekli się do Komendanta!

## OSTATNIA DEFILADA.

**P**RZECZUCIA żołnierzy naszych, że, gdy będziemy przy Obywatelu Komendancie, Austriacy dadzą nam wreszcie odpoczynek, sprawdziły się całkowicie. Koniec 1915 i początek 1916 roku spędziliśmy, jako rezerwa Korpusu, we wsiach Karasinie i Leśniewce. Tu uradowaliśmy się powrotem ze szpitali wielu naszych rannych kolegów, których nieraz uważaliśmy już za straconych.

W kwietniu 1916 roku wymaszerowaliśmy na front pod wieś Kostiuchnowkę i tu w lipcu tegoż roku doczekaliśmy się wielkiej bitwy trzydniowej, wobec której bitwa pod Laskami była tylko drobną utarczką.

W bitwie tej kilka razy Obywatelowi Komendantowi groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, Opatrzność jednak zachowała Go dla nas i dla Polski. Wyszedł cało z wysuniętej naprzód aż pod okopy rosyjskie reduty, mimo piekielnego ognia rzucanych na nią pocisków artylerji moskiewskiej. Reduta została nazwana przez żołnierzy „Redutą Piłsudskiego“.

Cztery razy Piąty Bataljon odrzucał bagnietami wdzierające się do niej mrowie Moskali. Opuściliśmy redutę dopiero na rozkaz Brygady, po całkowitem za-

sypaniu jej okopów przez pociski artylerji, gdy już i bronić nie było czego.

Po bitwie pod Kostiuchnowką mieliśmy znów spokojniejszy żywot w okopach nad rzeką Stochodem. Spokój ten zakłócały domagania się Legjonistów od Austrjaków i Komendy Legjonów nadania nam wszystkich praw żołnierzy polskich. Obywatel Komendant dążył do coraz większego spojenia wszystkich trzech Brygad Legjonów i dania im praw Wojska Polskiego. Gdy Austrjacy odmówili zadośćuczynienia żądaniom Komendanta — Obywatel Komendant podał się do dymisji ze służby w Legjonach.

Austrjacy, po miesiącu namysłów i wahań, dymisję Komendanta przyjęli. Nie rozumieli wtedy, że Komendant, pracując w Krakowie i Warszawie, przygotowuje ostateczną klęskę okupantów — Niemców i Austrjaków — przez stworzenie tajnej, szeroko rozgałęzionej, mężnej i ofiarnej Polskiej Organizacji Wojskowej.

Przyznam się, że i my, żołnierze, również nie rozumieliśmy istotnych powodów dymisji Komendanta i uważaliśmy rozstanie się Jego z nami za ciężką klęskę. Zanadto przyzwyczailiśmy się do otrzymywania wszystkich rozkazów wprost od Komendanta, zanadto był dla nas wzorem i symbolem wszystkich cnót Obywatela-Żołnierza, zanadto wreszcie kochaliśmy Go, by móc spokojnie przyjąć wiadomość o Jego dymisji.

To też, niema co ukrywać, po wyjeździe Komendanta z Brygady tęskniliśmy do Niego, choć wiedzieliśmy, że nie wróci. Każdy wracający z urlopu kolega

musiał opowiadać, co robi Komendant, gdzie mieszka, a grunt jak wygląda i w jakim jest humorze. Wiadomości te jednak mało dawały pocieszenia. Często zresztą były nawet sprzeczne, tak, że nie przemawiały do naszych serc.

To też wielką radość wywołała wśród żołnierzy wiadomość, że Legjony pójdą z frontu do kraju, by zacząć formować Wojsko Polskie. Niebardzo wiedzieliśmy, jak to będzie z tem formowaniem wojska, ale cieszyliśmy się głównie z możliwości pracy w pobliżu Komendanta, a może i zobaczenia Go w sprzyjających warunkach.

Był już koniec listopada 1916 roku, gdy załadowano nas do pociągu na dworcu w Baranowiczach, by przebieść przez Warszawę do Zegrza, skąd marszem pieszym mieliśmy udać się do Pułtusa, przeznaczonego na nasz garnizon.

Zrazu wiara była smutna, że nasz Piąty Pułk nie będzie w Warszawie, pod okiem Komendanta, ale radość wyjazdu do kraju zrobiła swoje.

Wagony towarowe, które jechali żołnierze, upiększyli zielenią i chorągiewkami biało-czerwonemi, oraz napisami:

- Niech żyje Polska,
- Niech żyje Piłsudski,
- Niech żyje Komendant,
- Niech żyje Dziadek!

Jechaliśmy już dzień i noc, gdy w mroźny ranek 26 listopada pociąg nasz wolno mijał ośnieżone wieże Zamku Królewskiego i kościołów Warszawy. Żołnierze

nie spali już, lecz stojąc w odsuniętych drzwiach wagonów patrzyli na widniejące woddali miasto.

— Warszawa, Warszawa! — leciało wzdłuż wagonów.

Warszawa tuż obok nas, a tam przecież jest Komendant!!

— Niech żyje Komendant!! — zadzwoniło kilkakrotnie w mroźnym zimowym powietrzu, tak jakby żołnierze chcieli zwrócić uwagę Komendanta na naszą bytność pod Warszawą.

— Wiara, defilada przed Komendantem!! — zawołał jakiś żołnierz.

Już wszyscy pchali się do drzwi i okien, by widzieć choć miasto, w którym Komendant przebywa.

Chęć zamanifestowania swej radości z powodu bliskości Komendanta złamała twarde prawa dyscypliny wojskowej.

Nagle z jednego wagonu z hukiem wzniosła się zielona rakietą i, po pęknięciu w powietrzu, z sykiem majestatycznie zaczęła opadać na pokrytą śniegiem równinę, leżącą w dole nasypu kolejowego, po którym szedł pociąg.

Za zieloną rakietą poszła w górę biała, za nią znów czerwona. Żołnierze krzyczeli z całych sił: — Niech żyje Komendant!!

Po rakietach zagrzmiały strzały karabinowe, skierowane wgórę na wiwat, na cześć Komendanta. Chwila — i pociąg huczał strzałami i krzykami żołnierzy, podnieconych rozłąką z Komendantem.

Maszynista pociągu, zdezorjentowany, zatrzymał po-

ciąg i przeraźliwie gwizdał. Stary żołnierz niemiecki, pilnujący zwrotnicy kolejowej, stoczył się z karabinem z nasypu na równinę i schował za stertę kamieni.

Ten rozgwar jednak trwał ledwie chwilę.

Już bowiem z wagonów biegły szarże inspekcyjne, wołając: — Obywatele nie strzelać, to nie front, tu musi być porządek!

— Jak może być porządek, gdy niema Komendanta — ryczeli żołnierze.

Strzały jednak ucichły tak samo nagle, jak powstały.

Już szarże odbierają pistolet do rakiet, który wiara „przemysłnie“ zabrała z frontu, już oglądają karabiny, kto strzelał!

Pociąg rusza wśród niemilkących krzyków: — Niech żyje Komendant!!

W parę dni później dowiedzieliśmy się, że Komendant tego ranka, gdyśmy defilowali przed nim w pociągu pod murami Warszawy — bawił w Krakowie, był więc daleko od nas.

Ale — nic to. Gorące serca stęsknionych żołnierzy czuły Go i widziały tego ranka oczami miłości w Warszawie, tuż obok naszego pociągu!

Dlategośmy krzyczeli: — Niech żyje Komendant!!

## W BELWEDERZE.

**O**D ostatniej naszej defilady przed Obywatelem Komendantem minęło dwa długie i ciężkie lata. Z tych dwóch lat, 16 miesięcy więzili Komendanta Niemcy w ich twierdzy Magdeburgu, gdyż bali się zostawić Go w Polsce.

My, żołnierze, nie mogliśmy przeszkodzić Jego aresztowaniu, gdyż byliśmy już wtedy sami w obozach jeńców. Zresztą Komendant zakazał nam użycia siły, by nie dawać Niemcom powodu do dalszego znęcania się nad bezbronną ludnością Polski, a wola Jego jest święta.

Po wywiezieniu z Polski Komendanta, Niemcy prowadzili dalej dzieło swego zniszczenia, zabierając wszystko, co tylko mogli: zboże, bydło, maszyny, drzewo, a nawet ludzi, których używali do przymusowych robót. W kraju zapanował głód, nędza i niepewność jutra.

W tym stanie rzeczy, trwającym lata, nagle zaświtał dzień wolności, dzień 11 listopada 1918 roku.

W mglisty, jesienny ranek tego dnia runęła gromem wieść: — Komendant wrócił z niewoli, rozbrajamy Niemców!

Nikt nie sprawdzał prawdziwości tego hasła. Obec-

ność Komendanta w Polsce rozbudziła nasze marzenia tłumione od wieków: uwolnić Polskę od najeźdźców i okupantów.

W dniu tym chwały, zjawienie się Jednego Człowieka sprawiło, że Polacy rzucili się z gołemi rękami na karabiny i armaty wroga, zmiatając najeźdźcę z powierzchni Polski w ciągu paru dni. Peowiacy, byli legjoniści, harcerze, mieszkańcy wsi i miast rozbrajali dumnych jeszcze wczoraj i pewnych siebie najeźdźców.

Wydarliśmy Polskę z rąk Niemców i Austriaków! Nikt nam Jej nie dał! Zjawienie się Komendanta sprawiło, żeśmy w jednej chwili z niewolników stali się wolnym Narodem.

W te dni niezapomniane odzyskania Niepodległości byłem Wojskowym Komendantem Zagłębia Dąbrowskiego. Mając duże trudności z uporządkowaniem tej części Polski, graniczącej wtedy jeszcze z państwem niemieckiem, postanowiłem w końcu listopada jechać do Warszawy, zameldować się u Obywatela Komendanta, celem otrzymania od Niego rozkazów.

Nasi dzielni kolejarze, cześć im za to i chwała, uruchomili pociągi natychmiast po odebraniu ich Niemcom, tak, że jazdę odbyłem punktualnie i bez przeszkód. Wszędzie, na stacjach kolei i w Warszawie milicja, w ubraniach cywilnych, ale z opaskami białoczerwonymi na rękawach, pilnowała z bronią w ręku porządku i ładu. Przez ulice przeciągały oddziały wojska, wystawiającego liczne posterunki dla ochrony mienia państwowego.

Koło południa poszedłem do Belwederu, gdzie zamieszkał Komendant. Przy pałacu stały posterunki Legji Akademickiej, przepuszczające zresztą wszystkich do środka.

Wnętrze pałacu przypominało raczej kwaterę sztabu wojska walczącego, niż salony przyjęć Pierwszego Obywatela Państwa. W przedsionku i szeregu pokojów czekały jakieś delegacje z prowincji: miast, P. O. W. i wojska. W samej adjutanturze siedzieli jacyś panowie, w ich liczbie paru ministrów.

Wśród adjutantów uwijał się w ślicznym ułańskim mundurze rotmistrz Kazimierz Stamirowski z legjonowego pułku ułanów Beliny.

Wysłuchał, o co mi chodzi, życzliwie, po koleżeńsku, bez cienia adjutanckiej wyższości, a potem: — Sławoj — mówi — przyłaż o piątej popołudniu, widzisz, co tu się dzieje, wszystko to Komendant musi dzisiaj przyjąć!

Wracałem uradowany do miasta, że za kilka godzin zobaczę Obywatela Komendanta, bo w tym tłumie dostojników straciłem już nadzieję, że wogóle będę do Niego dopuszczony...

Było już ciemno i mżył drobny deszczyk, gdy wchodziłem znów na dziedziniec Belwederu. Z okien pałacu biło światło w ponurą ciemną przestrzeń dziedzińca. Wchodzę do środka i.... oczom nie wierzę: tak samo pełno, jak przed południem, tylko inne już delegacje, inni dostojnicy. Ale wszyscy tak samo, jak ci rano, radośni i podnieceni pewnością prędkiego zobaczenia Komendanta. Rotmistrz Stamirowski jest tak

uprzejmy jak rano, chociaż widać po nim już zmęczenie.

— Jakże Komendant może przyjąć tych wszystkich ludzi? — spytałem go, gdy udało mi się już znaleźć krzesło do siedzenia.

— A ty chcesz być przyjęty przez Komendanta? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

— No ja naturalnie, muszę być przyjęty, bo mam ważne sprawy do zameldowania, no i przecież muszę zobaczyć Komendanta. Już półtora roku, jak Go nie widziałem!

— No to, widać, wszyscy ci tutaj mówią to samo — powiedział Stamirowski, wskazując oczami obecnych.

Zamilkłem więc i patrzyłem, jak co kilka minut w drzwiach salonu przyjąć Komendanta znikali ludzie, by wyjść z nich za chwilę z radosnymi wypiekami na twarzy.

Trwało to moje czekanie ze trzy godziny. Było bowiem koło ósmej, gdy rotmistrz Stamirowski, dzwoniąc sznurami adjutanckimi, podbiegł do mnie, wołając: — Sławoj — idziesz za chwilę do Komendanta!

Zabiło mi serce, zebrałem w garść szablę, czapkę i wstałem z krzesła. Już jakichś pięciu panów w czarnych tużurkach wychodzi od Komendanta, już kolej na mnie.

— Komendant prosi — słyszę jakby z oddali głos Stamirowskiego i wchodzę do sali.

Jest tu ciszej i mniej światła niż w poczekalniach. Przy stole stoi Komendant taki jak dawniej, w swojej

bluzie bez odznak, ale jakby postarzał. Widać Niemcy Mu dokuczali!

Serce wali, chciałoby się krzyknąć na cały ten Belweder: — Niech żyje Komendant! — ale już Komendant patrzy na mnie. Patrzy tak, jakby nie było tego półtora roku niewoli, jakby widział mię wczoraj. Pręzę się i walę: — Obywatelu Komendancie, kapitan lekarz Składkowski melduje się posłusznie jako Wojskowy Komendant Zagłębia...!

Obywatel Komendant podaje rękę i każe sobie meldować najważniejsze sprawy. Zaczynam, staram się mówić krótko, ale po kilku zdaniach Komendant przerwa mi, ujmuje sprawę w kilku słowach i wydaje odrazu rozkazy.

Boże — to już, już skończyłem znaczy; Komendant kiwa głową i podaje rękę. Jeszcze raz ogarniam oczami całą postać Komendanta, który patrzy na mnie spokojnie.

Wychodzę w gwar i blask poczekalni. Wszyscy na mnie patrzą. Znów wchodzę w ten uroczysty tłum po chwili prostej rozmowy z Komendantem.

Czy aby czego nie zapomniałem powiedzieć?!

Nie, chyba nic, wszystko powiedziałem....

Ściskam z radości rotmistrza Stamirowskiego. Wolno wychodzę z wypiekami na twarzy — z pałacu. Już rozumiem, dlaczego Komendant tak nie ma czasu. Gdy my triumfujemy jeszcze z powodu odzyskania Polski, On już pracuje nad Jej odbudową.

Szedłem, dzwoniąc szablą po kamieniach dziedzińca. Głowa pałała, serce waliło.

Widziałem Komendanta — opowiem w Zagłębiu.

Mam rozkazy — wiem, co dalej robić!

Stałem przy kracie na ulicy, by może choć przypadkiem zobaczyć jeszcze raz Komendanta.

Okna Belwederu rzucały jednakowe spokojne światło w ciemność nocy listopadowej...

Śpieszyłem na stację kolei silny i przepełniony radością.

Widziałem Komendanta!

## T R E Ś Ć

|                                                       |    |
|-------------------------------------------------------|----|
| Pierwszy ranny . . . . .                              | 5  |
| Pierwsza bitwa . . . . .                              | 11 |
| Bitwa pod Laskami . . . . .                           | 19 |
| Ranny komendant naszego bataljonu — obywatel Sław . . | 26 |
| Chora dziewczynka we wsi Mostki . . . . .             | 32 |
| Do Komendanta! . . . . .                              | 37 |
| Ostatnia defilada . . . . .                           | 43 |
| W Belwederze . . . . .                                | 48 |

## **UTWORY**

ASNYKA, BYRONA, CHRZANOWSKIEGO, FREDRY, GOETHEGO, KACZKOWSKIEGO, KARPIŃSKIEGO, KNIAŻNINA, KOCHANOWSKIEGO, KONDRATOWICZA, KONOPNICKIEJ, KRASICKIEGO, KRASZEWSKIEGO, KUBALI, LENARTOWICZA, MICKIEWICZA, ORZESZKOWEJ, PRUSA, RZEWUSKIEGO, SIENKIEWICZA, SKARGI, SŁOWACKIEGO, SZAJNOCHY, SZEKSPIRA I INNYCH NAJCELNIEJSZYCH PISARZY POLSKICH I OBCYCH

**ZNAJDUJĄ SIĘ**

**W BIBLIOTECZCE UNIWERSYTETÓW  
LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ**

**GEBETHNERA  
I WOLFFA**

257 TOMIKÓW W CENIE JUŻ OD GR. 15

## POLSKA I ŚWIAT WSPÓŁCZESNY BIBLIOTEKA MŁODZIEŻY

WKRÓTCE UKAZĄ SIĘ:

*Siedlecki M.* — Nad polskiem morzem.

*Janowski A.* — W stolicy.

*Małaczewski Korwin E.* — Z bojów brygady syberyjskiej (Wybrane opowiadania z „Konia na wzgórzu“).

*Morcinek G.* — Dzieje węgla.

*Poker J.* — Płyną polskie okręty.

*Ossendowski A.* — Afryka — kraj i ludzie. Opowiadania afrykańskie.

*Romer H.* — Strony wileńskie.

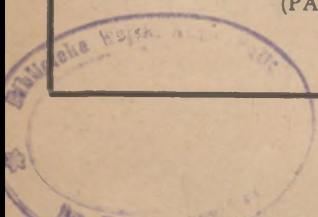
*Dąbrowska M.* — Praca artysty.

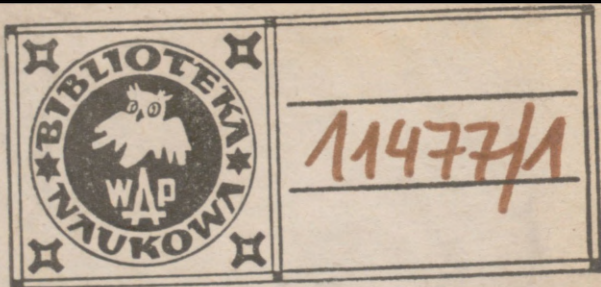
— Współpraca z mniejszościami narodowymi.

*Boguszevska H.* — Dzieci znikąd.



DOTYCHCZAS UKAZAŁO SIĘ 8 TOMIKÓW  
(PATRZ 4 STR. OKŁADKI).





11477/1